

# głód

Wiesław  
Ciesielski





głód



# głód

Wiesław  
Ciesielski

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1986



Opracowanie graficzne  
Zygmunt Gornowicz



15 C Reg. 82

179334

821.162.1-1



~~130432~~

824-1

MBP Słupsk Centrala



130432

Copyright by Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1986

ISBN 83-215-9208-2

\* \* \*

tu umrzeć  
płomień świecy tłący myśl  
wydostać się z zasłony rąk  
niech spopieleje twarz

tu umrzeć  
gdzie słońce podnosi z ziemi  
blask zranionej świecy  
krwawiącą nadzieję życia

jakie imię ci nadam  
synu zrodzony  
z płomienia

## W OTWARTE RAMIONA

wszystko co wokół wpisuje się na moją twarz  
świетlistą zmarszczką cieniem zaczętego dnia  
żyje  
wybiegam by nie spóźnić się w ten wir przemijania  
by trafić codziennie w miejsce sobie przygotowane  
wypełnić ciepły jeszcze cień

chodzę i pytam nieznajomych  
gdzie moje kąty i stół na środku  
dłonie niosące talerz  
i twoja dobroć pełna gorącej zupy

wszystko co wokół zamiera jak stracone chwile  
nadzieje wielkie niedosięte  
wśród nich ja toczący ciągłe zmagania  
gdzie jest mój dom —  
błądzisz poszukiwaczu złota  
poszukiwaczu złudzeń



## ŚWIĄTYNIE GŁODU

o zmierzchu rozżarzone światłem okna  
przypominają o tysiącach ludzi  
żyjących swoimi troskami  
w kamiennych świątyniach głodu

palce zatopisz w miękkim mięszu  
garścią nasycisz i odejdiesz  
opuścisz ten głód który już ciebie nie chce  
dążąc wciąż naprzód  
ku innym nie znanym nikomu  
wyspom dobrych nadziei

upadamy przed tobą  
chlebie

\* \* \*

zapatrzyłeś się w to swoje życie zapomniałeś  
jak bunt rozsadza ciało jak puchną dłonie  
oczekujesz znajomego by powiedzieć  
że wszystko po staremu ta sama kobieta  
w twoim życiu w twoim domu

zapatrzyłeś się i ktoś ciebie ominął  
otarł się o twoje ramię  
lecz nie mógł cię pamiętać  
on nigdy się nie urodził —  
ostatni potomek wrażliwości  
synu — krzyczysz za nim  
moje ręce nawykłe do pracy  
wracaj szybko z podróży dookoła świata

\* \* \*

nie mówmy o wielkiej miłości  
by nie oszukiwać naszych śladów na plaży  
krzyku ptaka wołającego o echo  
morze cierpliwie przyjmie wszystkie protesty  
jest głuche do szaleństwa

ciało twoje jest tak jasne że tonę  
staję się cięższy od myśli  
opadam jak kamień lecz przecież jestem kamieniem  
na pewno nim jestem  
żeby nie oszaleć

przychodzimy tutaj co noc  
by palić na wzgórzu nie opodal  
ogień ziemi obiecanej

\* \* \*

w tych trawach jest żar  
nie jesienny nie od zachodu słońca  
od zieleni

i spłoniesz jak papierowy kwiat  
od ciebie zajmą się chóry lasów  
a przy przydrożnej kapliczce  
staruszka po prostu zje śniadanie

i dasz mi dłoń — garstkę popiołu

\* \* \*

ktos ciągle buduje we mnie dom  
w którym wszystko ma swoje miejsce  
stół łóżko krzesło  
i ja mam w nim własne słowo  
jako jedyny i godny rekwizyt  
nieznany ktoś podaje talerz daleki  
gdzieś ucieka poza pragnienie  
w tym niesmaku sytości

bliski ktoś nie domyśla się  
że mój dom jest już otwarty  
czekam

by wszystko  
raz na zawsze  
w nim zamknąć

## BLISKO SIEBIE

nikogo jeszcze nie słychać nawet zegar  
beziemiennie odmierza czas  
jesteśmy blisko siebie  
nie mamy gdzie się podziać —  
nasze ciała poziomo krzepnące purpurą

pamiętam czarny las i niebo jak pękło  
rozdarłem ten skrawek  
by mógł narodzić się dzień —  
nasze dziecko

## W DZIEWIĄTYM MIESIĄCU

zasłuchałem się  
rękoma dotykając brzucha  
głowa ręce nóżki tajemnie ukryte

mówisz — słuchaj uważnie  
dziecko spakowało już walizki  
czeka  
aby przekroczyć granicę istnienia

przyłożyłem ucho do toru kolejowego  
nadjeżdża pociąg albo już przejeżdżał  
nie wiem gdzie jest moja droga  
dokąd mam iść  
z kranu krople spadającej wody  
drażą ciszę uspionego dzwonu

nadziejo  
w dziewiątym miesiącu życia  
zasłuchałem się w tobie

\* \* \*

zaczęty muśnięciem palców dom  
z dnia na dzień będzie się zraszał  
pochłaniał coraz więcej ofiar  
uwikłany we własne szaleństwo  
powstawania z martwych ruin  
będzie budził do życia zatęchłe  
sploty cegieł

przez okna i drzwi zaczęte w źrenicy  
ślepe otchłanie  
ten dom zawsze będzie istniał  
choć przybył z bardzo daleka  
znaczy dla mnie tak dużo  
a zarazem tak mało

patrzę pod słońce — czuję gorzki grymas  
ten dom jest we mnie  
i nigdy go nie było



\* \* \*

w której to godzinie w którym roku  
dotykam przymrużonych powiek —  
siedzisz przytulona do mnie plecami  
przejmuje mnie twoje ciepło  
zaczynam rozumieć że ktoś zostawił  
otwarte drzwi do naszej miłości

a może jesteście parą staruszków  
czekających na blade światło świec  
i ten zapach kadzidła  
tak doskonale oczyszczający powietrze  
nie  
między nami wyrosła jak rzeka  
bruzda na twoim czole

## MYŚL

nie wstydz się płaczu  
na kolanach matki  
owładnęły tobą krople słów  
nie masz siły się dźwignąć  
nagromadziłeś je  
zasiałeś  
a gdy zaczęły dojrzewać  
uciekasz

nie wstydz się płaczu  
gdyż nie ma takiej słabości  
takiego upokorzenia  
którego matka  
by w tobie nie rozgrzeszyła

## PUSTE STĄGWIE

pragnienie ogarnęło całego ciebie  
wypełniło każdą myśl  
oaza w której wyschło źródło  
puste stągwie drzemiące w cieniu  
dotykasz wargami kropli słowa  
woda  
brzmi jak wyrzut  
i nikt jej nie przyniesie  
na pustyni twojego serca  
brakuje ci kogoś  
który będzie ważniejszy  
od twojego pragnienia

oddasz mu ostatnią kroplę  
a on napelni stągwie

\* \* \*

jakie to czyny  
zostawiają na naszych twarzach  
okrutne blizny  
ułoż je na szali  
i miej odwagę podać sobie  
dłoń

pomyśl  
jeżeli to uczynisz  
to jakbyś pocałował żebraka

## W OCZACH

kim jest ten bezimienny uciekinier  
w samym sobie odnalazł kryjówkę  
zaciśnął pięści trzyma za gardło  
słowa protestu które zgorączkowane  
na wargach usiadły

ten ktoś jest w twoich oczach  
spogląda na wolność  
właśnie wschodzi słońce  
tak że chcesz wyskoczyć

## **ŹRÓDŁO**

**strumień drążył granitowy kamień  
gładził jego starcze czoło  
zaczepnąłeś garść wody i piłeś do dna  
gorzkie żale**

**nagle głuszcę poderwał się do lotu  
on też pił wodę**

\* \* \*

zajęły nas nasze dłonie  
drewniane uściski szczerości  
ktoś nas tego nauczył  
znamy się z daleka  
z przeciwnej strony stołu  
zajęła nas nasza bliskość  
drewniane pocałunki  
skrywamy obrusem brudne plamy  
nowy biały całun na wymiar  
postaci  
ułożymy potrawy dookoła  
do głębi drewnianej modlitwy

\* \* \*

wołasz mnie przez płomień  
abym zamieszkał z Tobą

wołasz mnie przez bochen chleba  
abym posilił się z Tobą

wołasz mnie przez Swój Krzyż  
abym podniósł się z kolan

wołasz mnie z dalekiej pustyni  
abym przyniósł dzban wody

umierasz z pragnienia



\* \* \*

swoich palców ciepło zagubili  
na skale granitowej  
na chlebie i w niebie  
swoich palców ciepło zostawili  
na ustach i piersiach

zasypiają  
ich obecność odchodzi  
w głąb labiryntu nocy  
pozostaje czułość  
i niejasność snów  
pozostaje problem prawdy  
i fałszu  
sens doskonałości granitu  
pozostaje w strukturze formy  
przebudzenie jest powrotem  
do tajemnicy dłoni  
i ciepła palców

## ZAGUBIONE KROKI

o kulach szedł na podbój świata  
czerwone z bólu słońce gasło w oczach  
on mówił — jeszcze parę kroków  
wierzył że zwycięży

dojrzewała pieśń w jego kulawym sercu  
o wolnym człowieku któremu dane było  
nie być niewolnikiem ani królem  
w koronie ze złota czy drutu kolczastego

pukał do napotkanych domów  
otwierała mu oczy pustka

podstępnie zaprowadzony na koniec świata  
czyli do miejsca z którego wyszedł  
ze zdziwieniem odnalazł  
swoje  
chore na wiarę serce



## PŁOMIEŃ

spójrz

umiera płomień lampki oliwnej  
osłaniasz dłońmi przed wiatrem  
boisz się że gdy zgaśnie  
nie znajdziesz w sobie tyle sił  
aby na nowo go wskrzesić

\* \* \*

doskonałość czterech nóg i oparcia  
kulawe krzesło — pies kulawy  
prześcieradło sufitu okrywa bezład  
siedzę oparty bezwiednie  
patrzę na ludzi

skrzypiące krzesło dla urojeń tylko  
i szczeka na mnie wierny pies  
dudni drewnianą nogą  
w okno  
otwieram

\* \* \*

rzuciono do stóp moką płachtę nieba  
przeżegnano strony świata i zaczęło się  
życie

słyszę jak padają krople deszczu  
widzę jak budzi się ogień  
czuję wzrok tych co mnie obserwują

więc podnoszę z kolan  
zesztywniały posąg by nauczyć go chodzić  
i odpowiadać na uśmiechy

## DĘBOWY KONIK

gdy byłem małym chłopcem  
dziadek mój wystrugał  
dębowego konika  
zaprząłem go  
do gwiazdnego wielkiego wozu  
żeglowałem po niebie  
i rósł mój rumak  
na miarę przestrzeni  
rósł i nie mieścił się  
w pudle z zabawkami  
w pokoju  
na dachu mojego domu  
pozostał w nieosiągalnej przestrzeni  
zaprzęgnięty do wozu  
dębowy konik

\* \* \*

powróciłem z daleka  
z bardzo odległych stron  
mieszkałem na skraju wyobraźni  
była to kamienna wyspa  
na której karmiłem ptaki

teraz gdy z trudem przypominam sobie  
moją chatę na wyspie  
nadal wybiegam codziennie rano  
rzucam wokół siebie pszenicę  
czekam na krzyk ptaków  
daremnie rzucam ziarno  
w kamienne serca posągów

a ptaki krzyczą nadal  
w moich dłoniach  
domagają się

\* \* \*

burzę w sobie zastygłe ulice  
gdzie tyle jest czasu i powietrza  
i obcy mi ludzie wchodzą we mnie  
gdzieś za mną odchodzą dalej  
obnażając tylko okna na świat  
przewrócone krzesła obecności  
znaleźć inne miejsce  
gdzie wiatr inaczej  
budzi ramiona do ruchu —  
podnoszę na ostatnie cztery nogi  
mój ocalony świat



\* \* \*

gdy w górach widziałem orła  
miałem niezwykle szczęście  
wisał nade mną jak drugie słońce  
w jego locie była samotność  
i nawet jego cień przynależny ziemi  
był nieuchwytny

stałem na wyraźnym wzniesieniu  
byłbym pewnie łatwym łupem  
jak ziarno mały  
lecz było nas troje  
ja i dwa cienie

\* \* \*

złapano mnie na schodzeniu w dół  
w nagłą przepaść sumienia  
ręce wykręcono do tyłu dano po twarzy  
dokąd się pchasz — światło jest w przeciwnym kierunku  
tam żyją ludzie mają swoje cztery ściany  
wielkie sprawy swoje potomstwo

i poszedłem w górę tak że przerosłem  
moje wyobrażenie o przestrzeni  
zrozumiałem że ten na ziemi ostatni mój ślad  
to miejsce do którego  
już nigdy nie trafię

## OBLICZE WIELKOŚCI

Oleńce

kłaniam się wam moje oczy  
kłaniam się wam moje nogi  
kłaniam się wam moje płuca

jestem najbogatszym człowiekiem  
cały błękit nieba jest moją własnością  
zieloność wszystkich łąk  
lot każdego ptaka

ja który nigdy nie istniałem  
kłaniam się wam wszystkim  
jesteście obliczem wielkości dla mnie  
pośpny i martwym  
lecz nikt z was nie ma takiego sufitu  
nad sobą  
gwiazdnej nieskończoności

jedyna ty  
potrafisz mi przynieść  
więcej niż cały świat

\* \* \*

przyniosłaś mi garść źródlanej wody  
czytałem twoje dłonie  
byłem pewien że być z tobą  
znaczy gasić pragnienie

lecz z drugiej strony twojej twarzy  
odszukałem  
lot ptaka

## DOM

twój o ścianę rozbity cień  
odwinięta z pościeli obnażona  
po żywą tkankę czasu  
odszukuję w tobie wzruszenie  
rozchyleniem warg nikłe słowo  
klejnot bez wartości  
wychylamy się z okna  
aż do krzyku ziemi by odnaleźć  
nasze twarze poza światem  
wysoko leci ptak w źrenicy  
jesteśmy źdźbłem trawy na gniazdo  
może całym drzewem

\* \* \*

przestronnym spokojem miasta  
w oka mgnieniu ten odruch wstydu  
dłóćmi godzin  
twoje usta obrane ze złudzeń  
udaje mi się scalić  
nieważne słowa  
które będę przypominał z głębi pokoju  
będę obdarzał je znaczeniem ciała  
i nawet gdy jesteś ze mną  
staram się rozpoznać  
nieodparte  
ogniska  
oczu

## SMUTNY DOM

znam drogę chociaż ciężko tam trafić  
stoi na skraju snu i przebudzenia  
pod strzechą kryją się wszystkie marzenia  
i wszystkie pretensje

przed domem jest mały ogródek z kwiatami

w smutnym domu smutni ludzie mieszkają  
odwiedzam ich rzadko  
bo droga kręta i daleka  
smutni ludzie czekają jednak na mnie  
z kolacją co wieczór  
ze śniadaniem co rano  
gdy muszę już wracać  
podarowują mi białe tulipany  
wracam wzdłuż kocich śladów  
odciśniętych na prześcieradle

gdy otwieram oczy  
zacierają się wzrokiem bukietu





## DZIWNIE SAMOTNE

stare mury  
małą stanowią przeszkodę  
dla naszej wędrówki  
nie zauważamy ich  
czas owinął je łagodnym cieniem  
na murach napisy kredą  
je też odrzucamy

wystarcza nam nasza bariera  
z którą nie możemy sobie poradzić  
drogowskazy na naszej drodze  
spotykane  
je też odrzucamy

wystarcza aż do wiatrów porywistych  
które wyrywają przydrożne drzewa  
pozostawiając głębokie rany  
słońce smugami po ścianach domów  
po kwiatach wczesnej wiosny  
rozchyła wargi  
płynie dalej wzdłuż kamiennych

martwych fundamentów  
czasu minionego

wystarcza nam nasze milczenie  
wobec opuszczonych domostw  
wobec ptaków strąconych w locie  
niewielu rozumie brak słów  
choć usta rozchylają się  
zamykają jak gdyby chciały mówić

szeptem zmroku  
często wracają do mnie  
zapomniani przyjaciele  
a miasto rodzinne  
z abażurem majaczących lamp  
jest dziwnie samotne

## MALUJĄC PORTRET

usiądź wygodnie  
przyjrzę się twoim pragnieniom  
zbrodniom zawieszonym w powietrzu  
którym zabrano chwilę pamięci

malując portret wyjdę od środka twarzy  
aby czynom nadać znaczenie przemijania  
głęboko zapada się twoje oblicze  
patrz mi w oczy

w życiu przeszedłeś wzdłuż i wszerz  
lecz ta dalekość spojrzenia  
nie jest twoim dziełem  
rozdarcie między tak a nie  
a wstrzymuję się od głosu  
nie jest twoim dziełem

to może zamalujemy  
szczegóły twarzy tak byś został tylko  
podobieństwem

## GLÓD

gdy stoję nagi przed rozwydrzonym tłumem  
żądającym śmierci mojego głodu  
na przekór nawoływaniom powiem — pragnę

jak umarły w podziemiach sumień  
dorastam łaknąc choćby strugi światła  
która tępo rozcina martwy ciemny pokój  
przez dziurkę od klucza  
moja twarz jest taka samotna  
tak daleko jej do rąk nóg tułowia  
jest na końcu świata  
a słowa  
koraliki różańca ucałowane po stokroć  
bym w godzinie śmierci głodu mego  
dotknął doskonałości

jako skazańca zamkną mnie w celi  
pokarmem będzie milczenie  
ono zagra wolność czterech ścian  
i to że na zewnątrz  
wysoko  
tańczy ptak

\* \* \*

musiał z konieczności się wyrzec  
tego że leży na szali wagi  
co nim tak miota  
by pogrozić pokój swoją osobą  
od drzwi do okna  
wyrzeka się słów na rzecz milczenia  
ważony wraz ze swoimi grzechami

męczą nas nasze gesty  
ciepłem dłoni  
rozpalają w nas choćby kwiaty  
usypiamy odpływem krwi  
lecz oczy wierne treści życia  
otwierają świat  
odkładając winy

choć krok mu słabnie  
unosi ramiona do lotu  
głębiej  
o ostatni dół

## SPOTKANIE

błękitna pustko  
nie słycać już wiatru  
tamte niebieskie lasy pękające fale  
ostatnie błyski spóźnione eksplozje  
lecz twoim obnażeniem jest  
pościel starannie ułożona oczekująco  
minutom darowana dokuczliwa mnogość  
utracony wymiar — poczęcie

pamiętasz ostatnią zimę  
zastygający żywioł jakim jest morze  
ogromne lodowate drzewa  
gdy dotknęłaś twarzy  
przeraziło cię to śmiertelne ciepło

purpurowa pustko  
ten czający się krzyk mieszka w tobie  
czeka aż doszukasz się obecności



## SMIERĆ PSA

bunt we mnie nie wybucha  
lecz rośnie  
ja go do siebie przyzwyczajam  
wygrzewam pod pierzyną  
gdy jest już tak ogromny  
że się we mnie nie mieści  
wtedy ucieka w nocy spaceruje  
nieoświetlonymi ulicami  
szczeka ten kundel na świat

nikt go nie słucha nie rzuca ochłapów  
taki nieposkromiony bunt mają wszyscy  
niektórzy starannie go pielęgnują  
inni ćwiczą batem  
a ja machnąłem ręką  
nad moim marnym wybiedzonym psem  
w gazetę zawinałem  
wsadziłem pod pachę



## DZIURAWY GARNEK

cały ze stali  
mógłbyś być hełmem żołnierza  
lecz nie dziurawym garnkiem  
gdyby przeszła cię kula  
spoczywałbyś w chwale bohaterstwa  
a tak śmietnikowy garnku  
wspomnieniem tli się w tobie  
taniec ognia  
który z dnia na dzień  
trawień okryte emalią ciało  
bulgotałeś w zachwycie

dziurawy garnku mimo wszystko  
masz w sobie coś z człowieka  
brak bohaterstwa

\* \* \*

zdoyleś doskonałość  
ciężkich dłoni budując przestrzeń  
która zaciska się wokół ciebie  
jak pętla to światło zachodu  
czerwone aż po przeguby  
od łopaty i mrozu

zdoyleś drewnianą koronę  
i fortunę tego świata  
słowa bez wartości  
kamienny ukłon — poniżenie  
i wolność która  
nie rodzi się z nienawiści

## W POSZUKIWANIU PRAWDY

1

schowajcie księgi mądrości  
słowa bezdomne  
nikt nie potrafi ich czytać

a w kapliczce twoich dłoni  
zapłoncie  
lampka oliwna

2

wsluchaj się w bicie serca

oprzyj czoło o martwą ścianę  
ten chłód  
to wnętrze kamienia które  
zamyśliło się na śmierć

prawda  
nie jest na początku ani na końcu  
ani pośrodku drogi  
prawda jest wszędzie  
i dlatego jej nie ma

## KALECTWO

jestem kulawym stołkiem  
i jak każdy wstydę się  
mojego kalectwa  
lecz cóż począć takim mnie stworzono  
nawet nie mogę się skarżyć  
stoję w kącie podpieram się o ścianę  
czasami słyszę co dzieje się u sąsiadów  
i tak sobie myślę  
że może po tamtej stronie  
w takim samym kącie  
jakiś kulawy stołek jak ja  
dotyka ściany  
wierząc w ucłowieczenie

\* \* \*

huragan z nieba uderzył  
jak skrzydło ogromnego ptaka  
lub jak bomba o nieokreślonej sile  
ptak wyrastający z atomowego grzyba  
jest jak starzec z długą siwą brodą  
aż do środka ziemi  
gdy przyłożysz ucho — słyhać  
przyspieszony tętent koni  
to serce wszechrzeczy  
ucieka przed samym sobą  
by nie spotkać ludzi

by ślady które zostawiamy za sobą  
nie wyprzedziły naszej chęci trwania

\* \* \*

zapewne istniejesz bo wiem jak cię nazwać  
tyloma słowami zniekształcone cienie  
słyszę jak podchodzisz do samej głowy  
otwarcie oczu uderzają fale

patrz matko ten bezmiar już kona  
trawy nasycone słońcem ujmę dłonią  
to będzie najobfitszy udój  
mleka senny smak

i chciały przemienić  
przedmioty swoje ciała będąc na wyciągnięcie  
ręki

## ZWYCIĘZCA

twój cios zawiśnie w powietrzu  
jak martwy posąg uczyniony z wiatru  
starcy pokiwiają głowami  
ich siwe brody będą jak rzeka  
w ciągłym nurcie  
twój cios jak ślepy kamień  
ugodzi w sam środek słońca  
by zetrzeć na proch tysiące cieni  
ich żałobny orszak  
pukający do twoich oczu  
do twojego mózgu — wyteżasz słuch  
ktoś szarpie ciebie za ramię  
zaspaleś na ostatnią chwilę życia



## PRZED SOBĄ

nikogo jeszcze nie słyhać  
nawet zegar  
beziemiennie odmierza czas  
rozplywające się kształty  
w bezruchu  
poczucie strachu

gdy usłyszałem kroki  
wiedziałem od razu  
że to ja sam  
runąłem w dół  
w nieskończoność nocy  
by potwierdzić własną obecność

obudziło mnie nagle pukanie  
do okna  
czy to ty przyjacielu  
chcesz się zwierzyć  
nagim ścianom

\* \* \*

biodrami rozpycha to wnętrze  
owoc co cierpko dojrzał  
i pestki uronił  
w niebie szarym  
by cicho brzmiało wzrastanie

a drzewo u drogi  
kłania się dniem chropawe  
i widzę matkę  
z chustą na głowie  
niesie w sobie  
świat

\* \* \*

kobieta robi sweter na drutach  
zgarbiony po samą ziemię  
nieuchwytny jak nurt rzeki  
w ciągłym przemijaniu

kobieta nakrywa do kolacji  
kładzie rybę o srebrzystej łusce  
ręce milczące  
opiera o biały obrus  
zamyślane w bezruchu  
osaczone

kobieta patrzy z przerażeniem  
w lustro  
na zwiędniętej pościeli  
kocie ślady

## RADOŚĆ CODZIENNOŚCI

wielkie bywają słowa i czyny  
tylko codzienność jest szara  
nikt jej nie roznieci  
nie zapłoni

w szaleństwie kwiaty  
kwitną na wskroś  
jest takie bliskie i takie czule  
to barwne kwitnienie  
nasturcji chorej na jesień  
lecz w przebłyskach dnia  
gdy z deszczu obsycha rynna  
otwieram okno  
aby rozprostować skrzydła  
moim tysiącom ptaków

## WIGILIA 80

tam na skraju ziemi roztrwonione dłonie  
wznosiły modlitwy skazane na wieczność  
tam na skraju nieba była wielka cisza  
do nas tylko dotarły urywane słowa  
jak zeschnięte liście myśli uciekały  
lecz czasami na krótko  
by oszukać ślady istnień czekałem  
może nieznajomy zdobędzie odwagę  
by podejść do ludzi usiąść do kolacji

tę ogromną przestrzeń zagubiła nieskończoność  
wymiarów stołu

## SOKÓŁ

gdy szaleństwo obrasta w skórę  
wyciągnięta dłoń na której sokół  
z kapturkiem na oczach  
by nie widział cienia na niebie  
tych rozpostartych skrzydeł które  
opierzone już uległością przenikliwym  
głosem gwizdka — wracaj do mnie  
sokole zabij w sobie ten lot podniebny  
to serce jak kamień ogłuchłe  
na tępe do bicie pozornie łaskawe  
ten pan twój i władca ku słońcu  
wygiętą ręką rzuca cię do stóp  
upadły tak nisko że tylko ty zrozumiesz  
wielkość i oddanie dwa przeciwne bieguny  
gdzie tylko równoważnia  
nie znaczącego nic życia pozwala wierzyć  
że ten kaptur na oczy to inny sposób  
spojrzenia

## ORSZAK

wszystko wydarzy się w cieniu wielkiego domu  
otoczonego kręgiem zdarzeń zbiorem  
koncentrycznych kół i tylko ten spokojny orszak  
z kobiet i mężczyzn zaplątanych w sidła  
uwikłanych w najprostsze czynności  
będzie wpisywał własne życie  
pozorował nieistnienie wielkiego domu  
na podobieństwo samotności nas wszystkich  
oddanych milczącemu uczestnictwu  
w urojonych orszakach na granicę wyobraźni  
aby wymazać z ciemności tajemnicze światła —  
przecież nikt jeszcze tam nie wszedł  
nikt nie zapukał do drzwi  
nie ogłosił się dyktatorem

wszystko wydarzy się w cieniu ludzi  
dotkniętych  
śmiertelną chorobą władzy

\* \* \*

jest jedna strona  
świat ma jedną stronę  
oszust i złodziej ma jedną twarz  
żadnych kart nikt nigdy nie znaczył  
tylko strony mają cztery razy  
tak  
jak komedia słów grana przed  
śmiercią

stracono

ucięto tamte trzy strony  
świata  
nikt nie przyznał się do podwójnej gry  
i wszystkich cieszyły znaczone karty  
tymczasem ziemi  
niepotrzebne są żadne wymiary  
to tylko człowiek chce być  
królem



\* \* \*

zawsze ogarnia mnie ten sam niepokój  
gdy ze skowytami zatraskują się drzwi  
mam wrażenie że są niepowtarzalne  
że za każdym razem są inne  
jakby nigdy nie miały własnego oblicza  
i z innym jękiem  
krzyczą za mną — żegnaj  
są tak bezimienne  
że o nic nie mogą być oskarżone  
za sobą zamykają tylko przestrzeń  
załamują tylko światło  
lecz gdy czuję rdzawą klamkę  
nie muszę wypatrywać w ciemności  
ręki przyjaciela  
ona już odeszła z moich oczu  
uciekając przed wściekłym ujadaniem  
chorych na wyobraźnię drzwi

## DOŚCIGNIĘTY

wyobraźmy sobie że ze wszystkich stron  
biegną do mnie stada koni  
ich oddechy są tak miarowe  
że słyszę jak narastają we mnie  
dławię się ich przyspieszonym tętnem  
i przychodzi chwila w której muszę zgiąć  
stratowany  
lub przeistoczyć się w ich oddech  
w skurcze ich mięśni w ich kwaśny pot  
muszę jak one kopytami miażdżyć  
własny cień

muszę być koniem dumnym świstem bata  
muszę być pędem muszę być ślepą równiną

konie przeleciały na przestrzał moje krwawe myśli  
przefrunęły jak ćmy przez światło mojej twarzy  
spojrzałem na dłonie uczynione ze świstu bata  
zdumiony

\* \* \*

falszerze sumień głód w waszych ciałach  
trawi każdą myśl lecz czym jest reszta  
mieszkamy w czynach  
wygrzewamy kąty co nam nie wybaczą nigdy  
obecności w locie kamienia w ślepych ciosie

rozstajemy się z każdym dniem  
jak z brudną koszulą — odczytaj rzeźby wiatru  
twarz niewątpliwie obecną lecz oczy odległym ptakiem  
szukają spełnienia pragnień

dokąd biegniesz  
czy znasz chwilę w której  
wypełnia się życie i wieczność

kamienia

## GLÓD MORZA

1.

Żdźbła trawy na gniazdo, całe naręcza spalonych przez słońce morszczyków i ogłuszonych przez wiatr wydmuchrzyc. Zbiera, bo dają spokojny sen. Matka pięciu synów, którzy zaginęli bez wieści.

Spogląda na zachodzące za morzem słońce. Fala jest wyjątkowo spokojna jak na tę porę roku. Ledwie zmarszczona, chociaż jak młoda dziewczyna.

I przyszła po matkę, miała zielone oczy.

— Mama tak zawsze, od wielu lat, ale nic nie da się na to poradzić.

Poszły spokojnie w głąb lądu.

Nachyliłem się nad mokrym jeszcze morszczykiem, ledwie wyrzuconym przez morze. Uniosłem do ust. Pachniał dziewczęcym ciałem, chociaż było słyhać ciche modlitwy matki. Nie spostrzegłem, jak wrósł w moje ręce, stał się ciałem. I morze podeszło do moich kolan, stało się ciałem.

Na horyzoncie zakołysał się zaginiony kuter.

2.

Nie znam tych białych ptaków z uporem naśladowujących zło-  
wrogie pomrukiwania morskich głębin. Skrzydła niczym śmi-  
gła utkane ze strug smaganych wiatrem. Tańczą najpiękniej-  
szy taniec świata do najpiękniejszej uwertury.

Spostrzegłem nagle, że jeden z ptaków zaplątał się w twoje  
włosy. Biegłem, aby zabić ptaka, który uderzał skrzydłami w  
twoje ramiona, policzki.

Byłem już blisko, odleciałaś... Na zawsze połączona.

Siedziałem wpatrując się w otchłań. Słońce dawno już za-  
szło. Nie było ptaków, chociaż wwiercał się we mnie ich krzyk  
nieobecny, dręczący myśli szum fal dotykających brzegu.

Poczułem się bardzo samotny i opuszczony. Zacząłem znosić  
wyschnięte morskizyny, trawy, wyrzucone przez morze deski.  
Roznieciliśmy ogień. Włożyłem ręce w sam środek ogniska.

Byliśmy razem.



3.

Obrane z łuski fale do żywego mięsa, z łoskotem obijane o kondukt pali wbitych w dno. Przytulę w tańcu białą grzywę konia unoszącego się na fali. Dotrę do samego dna, aby odnaleźć na piasku ślad pierwszego człowieka. Podobno szukał ziemi obiecanej.

Wszyscy zaczęliśmy wychodzić na brzeg. Ryby w milczeniu podążały w głąb łądu. Za nimi małże, meduzy, wrzaskliwe mewy. Wszyscy zaczęliśmy się schodzić na pogrzeb Starego Boga, który rozumiał głód morza i nasze oczy pełne horyzontów. Szliśmy razem, aby oddać pokłon naszym obiecany przyładowkom ciepłych i przyjaznych dłoni.

Twoje zielone oczy patrzyły przeze mnie. Twoje ręce, niczym mewie skrzydła unosiły się we mnie.

W kościele, gdzie stała trumna, spoglądał na nas z krzyża Chrystus.

On wiedział najlepiej.



## SPIS TREŚCI

|  |    |
|--|----|
| *** (tu umrzeć) . . . . .                    | 5  |
| W otwarte ramiona . . . . .                  | 6  |
| Świątynie głodu . . . . .                    | 7  |
| *** (zapatrzyłeś się ...) . . . . .          | 8  |
| *** (nie mówmy ...) . . . . .                | 9  |
| *** (w tych trawach ...) . . . . .           | 10 |
| *** (ktoś ciągle buduje ...) . . . . .       | 11 |
| Blisko siebie . . . . .                      | 12 |
| W dziewiątym miesiącu . . . . .              | 13 |
| *** (zaczęty muśnięciem ...) . . . . .       | 14 |
| *** (w której to godzinie ...) . . . . .     | 15 |
| Myśl . . . . .                               | 16 |
| Puste stągwie . . . . .                      | 17 |
| *** (jakie to czyny ...) . . . . .           | 18 |
| W oczach . . . . .                           | 19 |
| Zródło . . . . .                             | 20 |
| *** (zająły nas ...) . . . . .               | 21 |
| *** (wołasz mnie ...) . . . . .              | 22 |
| *** (swoich palców ...) . . . . .            | 23 |
| Zagubione kroki . . . . .                    | 24 |
| Plomień . . . . .                            | 25 |
| *** (doskonałość czterech nóg ...) . . . . . | 26 |
| *** (rzucono do stóp ...) . . . . .          | 27 |
| Dębowy konik . . . . .                       | 28 |
| *** (powróciłem z daleka ...) . . . . .      | 29 |
| *** (burzę w sobie ...) . . . . .            | 30 |

|                                  |    |
|----------------------------------|----|
| *** (gdy w górach widziałem ...) | 31 |
| *** (złapano mnie ...)           | 32 |
| Oblicze wielkości                | 33 |
| *** (przyniosłeś mi ...)         | 34 |
| Dom                              | 35 |
| *** (przestronnym spokojem ...)  | 36 |
| Smutny dom                       | 37 |
| Dziwnie samotne                  | 39 |
| Malując portret                  | 41 |
| Głód                             | 42 |
| *** (musiał z konieczności ...)  | 44 |
| Spotkanie                        | 45 |
| Śmierć psa                       | 46 |
| Dziurawy garnek                  | 47 |
| *** (zdobyłeś doskonałość)       | 48 |
| W poszukiwaniu prawdy            | 49 |
| Kalectwo                         | 51 |
| *** (huragan z nieba ...)        | 52 |
| *** (zapewne istnieje ...)       | 53 |
| Zwycięzca                        | 54 |
| Przed sobą                       | 55 |
| *** (biodrami rozpycha ...)      | 56 |
| *** (kobieta robi sweter ...)    | 57 |
| Radość codzienności              | 58 |
| Wigilia 80                       | 59 |
| Sokół                            | 60 |
| Orszak                           | 61 |
| *** (jest jedna strona ...)      | 62 |
| *** (zawsze ogarnia ...)         | 63 |



|                              |    |
|------------------------------|----|
| Dośćcignięty . . . . .       | 64 |
| * * * (fałszerze sumień ...) | 65 |
| Głód morza . . . . .         | 66 |

Wydawnictwo Książki Klasycznej 1908  
Wydawnictwo Książki Klasycznej 1908  
Wydawnictwo Książki Klasycznej 1908  
Wydawnictwo Książki Klasycznej 1908  
Wydawnictwo Książki Klasycznej 1908

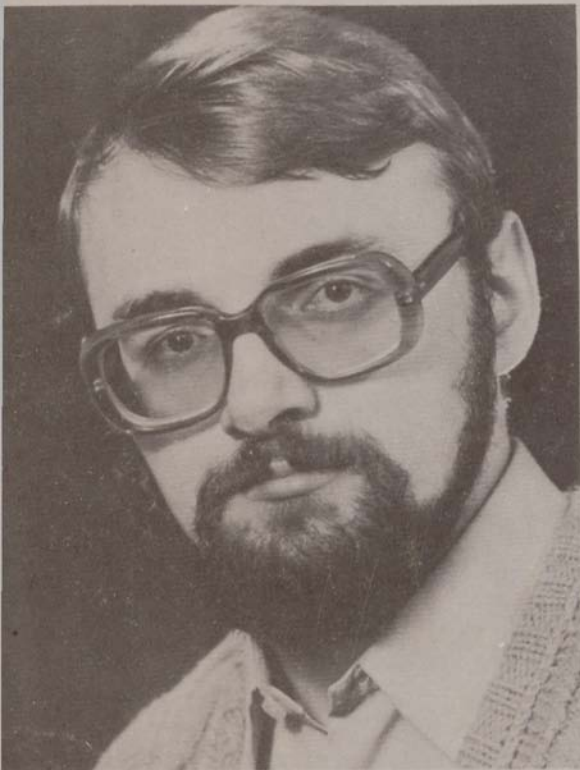
Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1986  
Wydanie pierwsze. Nakład 900 + 100 egz.  
Ark. wyd. 1,38. Ark. druk. 4,5.  
Zakłady Graficzne w Gdańsku, ul. Trzy Lipy 3.  
Zam. nr 695. L-5



6100

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. M. Dąbrowskiej  
w Słupsku

Nr inwent. 135



Wiesław Ciesiel-ski urodził się w 1959 r. w Słupsku, pisał wiersze, był redaktor w „Tęczy”. Jego wiersze opublikował w „Literaturze i sztuce” i „Morza”. Jego wiersze ukazywały się na łamach prasy, a także w tomiku *Poezja młodych* (1980) i almanachu *Obecność* (1983) opublikowanych przez SSK „Pobrzeże” w Słupsku. W 1985 r. wydany został przez tę samą oficynę debiutancki tomik Wiesława Ciesiel-skiego *Kraina milczenia*. Tomik *Głód* otrzymał główną nagrodę w konkursie o laur „Gryfa Słupskiego” w 1984 r.

Cena zł 75,-

ISBN 83-215-9208-2